

Z ust górala zakopiańskiego.

*Pani Gabryeli, miłośnicze
baśni ludowych.*

Mój gazda, Jędrzej Gąsienica z Gładkiej na Gubałówce, ma 65 roków. Nie wygląda jednak na tyle. Głowę niesie dotąd wysoko, niby jeleni — śmigłej postaci nie zgięło mu jeszcze brzemię lat, długie włosy, opadające na szyję, kruszą lśnią się barwą — wąskiej, długiej twarzy typowego górala nie brudzą zmarszczki — a łatwy uśmiech nerwowych warg ukazuje zęby zdrowe i mocne. Oczy jeno, czarne, głęboko osadzone, nie płoną młodym ogniem, a na drobne bliżkie przedmioty patrzeć muszą przez szkła okularów, które dziwne robią wrażenie na twarzy, zbrązowiełej od wicherów halnych, wyrazistej i dzikiej, jak otaczająca przyroda.

Orli niegdyś wzrok gazdy przyćmiła robota krawiecka, wykonywana w lecie u jedyne go okienka malutkiej izby, w której się mieści z liczną rodziną, a w długie wieczory zimowe przy rażącym świetle lampy o poziomym daszku z pobielanej blachy.

Jędrzej Gąsienica nie zawdy jednak był krawcem. Młodość upłynęła mu na halach i wirchach, wśród jasnych otchłani powietrznych — w pustce, samotności i ciszy, lub wśród dzikich poświstów wichru, śnieżnych kłębów fuja wicy, w zamierzchu cyrniawy. Sam on tak opowiada w zwięzłych słowach zmienne koleje swego życia:

»Przodziej pasałek owce u ojca, jako juhas, — owcarzowałek do 30 lát na hálak. Pote jeździłek dwa rázy na Litwe, nie prec od miasta Grodna. Byłek tyz za przewodnika. »Sićkie góry przesel, sićkie przewandrował«, wylazłek i na Gerlak, co najhrubsy gazda jes, telo co ociec inszym górom. A pote hyciłek sie krawiectwa i to sám ze swojej głowy. Nie byłek nigda u krawca ani pół godziny, ino sám z natury — i to sie nazywá: krawiec nadnaturalista. Robim góralskie odzienie: portki, cuhy. Robim i pod innyk królów: do Paryza, do Wiednia, do Moskwy, nawet do Szwajcarji i wsendyk sie podobá nasá goralská modá. Robim tyz i sieleniejakie kwiáty na dywanák starej mody, i takie wysywanie zrobiłek ráz na dywanie panu Dembowskiemu. Kie juz urobiłek rozmaite gadziki, zapytuje sie mie p. Dembowski: »Ftóry najstársy gadzik na tym dywanie, Jędrzeju? — Ja sobie myślim i wzionek z najstársyk rzemieni, co sie nazywajom pasy, a na nim był wyrobiony gadzik. Padam mu: ten! A on pada:

»Ja ci dowiodę, czy prawdę mówisz«. Bierę ksionske swojom, co miasto było zasute przed 4 tysioncami roków, a teraz wykopujemy tam rozmaite rzeczy malujom w ksionskach, co było starodawnie malowane na murak. Toż był haw i ten gadzik, wymalowany z muru w ksionsce.

»O hej, pracowałek, bo i trza było pracować. Pan Bóg nagodził dzieciami, ociec dał mi, jako się ożenił, telo majontku, cobyk na małym palcu unios, toż jakoz było nie robić? No, ale fała Bogu na staroś dorobił sie fajnego majontku«.

Ów »fajny majontek«, składający się z trzech domów i dziecięciu rozrzuconych »kęsów« pola, za które — przy obecnych cenach — mógłby wziąć po 6 tysięcy koron za każdy — to przedmiot słusznej dumy Jędrzeja Gąsienicy. Całą przedsiębiorczość, skrętność, energię, rzutkość, inteligencję, słowem wszelkie przymioty, właściwe góralom, skierował — w nieświadomości innych — ku jednemu celowi i osiągnął, co zamierzał: stał się »hrubym gazdą«.

Zapamiętała pogoń za bogactwem nie pozbawiła go jednak sympatycznych cech, wrodzonych ludowi górskiemu. Gąsienica należy do pokolenia, którego jedyną jeszcze mistrzynią była przyroda, groźna i cudna w dzikim swym majestacie, — do pokolenia, co gasiło żar pragnień u jasnych, żywych źródeł; ze szczytów biegnących — nie zaś w mętnych ściekach »cywilizacji«. To też jest w nim szczerłość natury pierwotnej, jej wrażliwość i głębia. Uczucie życzliwości, którem ogarnia ludzi, rozciąga się i do świata zwierzęcego. Duszna kuchnia, gdzie się mieści z rodziną, bo »domy som lá gości, lá panów« — to prawdziwa arka Noego. Pod ławkami śmigają morscuki (świnki morskie), po nalepie przechadza się kawka urodzona wysoko, bo aże na dzwonnicy starego kościoła; nad oknem w klatce złocą się kanarki, a śpiew ich odbija jaskrawą nutą od tłumionego gruchania gołębi, mających nad drzwiami siedlisko. We wzorowej zgodzie z resztą towarzystwa żyją biały kot i piesek też biały, o jednym jakby przyklejonem uchu czarnem. »Sićko źwierze mám, ino mi konia hybia« — mawia gazda z zadowoleniem. A trzeba widzieć, jakim ciepłym uśmiechem odmładza się zasuszona jego twarz, gdy zrana »odbywá« swoje dźwierzenta w izbie, lub gdy podsłuchuje pod ulami »gwary pscół, co ino-ino majom sie roić«.

Poglądy swe na przyrodę i stosunki ludzkie — zawsze słuszne, nieraz bardzo głębokie — wypowiada w formie zwięzłych zdań, ilustrując je oryginalnymi przysłowiami, jak naprzykład:

»Na przodek nie wychodz, na zadku nie ostaj, do pośrodku sie nie ciś«. Albo: »temu bieda, co moc ma, temu wienksa, co nic nimá«. Albo jeszcze: »bieda temu, dobrze temu, co nic nimá, bo sie wyśpi, nie wydrzyma«.

Najwdzięczniejszem jednak polem popisu dla krasomówstwa gazdy są dłuższe opowiadania o zbójnikach — Tatara Myśliwca i Mateję znał osobiście — o polowacach, a także o istotach i zjawiskach nadprzyrodzonych. Wygłasza je gwara silną, zwieżłą, urokiem archaizmów nęcącą, potęgując bardziej jeszcze wrażenie grą twarzy, dźwiękiem głosu, ruchami.

Parę z tych opowiadań przytaczam właśnie poniżej z żalem ogromnym, że, spisane, tracą one pierwotną swoją świeżość rosy porannej, gasną i bledną, niby kwiat, w bibule zasuszony.

Opowieść po cem zwane Zakopane.¹⁾

Kiejsi, przed kielka casem, to miejsce, ka tera stoi Zakopane, było doznaku lasem porośnione. Świat był nie taki, jako dzisiak. Nie było haw ludzi moc, jeny cosi sztyrok gazdów. Jeden ś nik był zwany na Starej Polanie — jest i tara Stará Polana, widać, że je tyz najstársa ta polana. Drugi gazda Walency, zwany na Skibówce. Trzeci kył na Kościeliskiej dolinie — pisali sie Sobcacy, a cwórty Kosiełka — na Hałubińskiego ulicy, ba w te casy nie nazywała sie Hałubińskiego ulica, ino Grapski wierk, a gazda pisał sie Grapek.

I co sie nie zrobiło: przyseł jakiś cłek z inszej strony, pono od Krakowa, i zrobił se kolibem w lesie, wśród Gubałówki, z tej strony proci tego wirku Grapskiego a kościoła starego. Ścinał przy kolibie drzewo na opał i zrobił se kasek ziemi na kielo-telo krocenia, co sie nazywá płaśnia.

Jako sie ten ze świata przezimował, odzienie miał cysto pięknie jinakse, jako ci zamieszkalcy. Ci gazdowie mieli portki z białego sukna i cuhem na ramiona, którym sie przyodziewali z wierchu. Nie było wtenczas na odzieniu nijakich strojów, nijakich oblanek, jako teraz. A ten cłowiek, ftóry sie wyzimował, miał odzienie cárne, a portki jego były smużniate: jeden pasek biały, drugi cárny, trzeci zielony, cwórty żółty, a piąty i szósty coraz inszego gatunku. Były te paski na jego odzieniu podobne

¹⁾ Porównaj wyjaśnienie nazwy Zakopanego u Walerego Eljasza: »Kilka wrażeń z Tatr« — w »Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego« r. 1880. t. V. str. 75.

do tej gąsienicy, hrobaka, co jada kapuste. Wiem, że mało człowieka, coby tego hrobaka nie widział.

Uzreli ci zamieszkalcy starsi, gazdowie, że jakisi człowiek hań w tym boku pod Gubałówkom sie przechodzi i nazwali go po tyk smuźniatyk portkak-Gąsienicom.

Ten Gąsienica przebył hań pare zim, doś dużom, nie małym płaśnie wyrąbał. Poseł pote kansi dalej do dziedziny, przynióś owsa w rękawicy — moze było tego owsa s kwarte — na tej płaśni wysiał ten owies i zakopał motykom, bo pługa ni miał ani koni. — I po tem zakopaniu jest do dziś dnia w tym miejscu polana — bedzie jej seś morgów — nazywá sie ta polana Zakopiska. Mój ociec ze strykiem majom ćwártom ceść tej polany, a te insze trzy ceści mają tyż Gąsienicowie — nik inszy — w tej samej rodzinie, ale oni wychodźom już z przyjacielstwa, bo to piáte pokolenie.

I po tyk Zakopiskak nazywá sie Zakopane.

Widać, że to nie było wtencás ludno, kie z innyk stron jakiś człowiek przyseł i sam dobrowolnie kcąc, obsiad. Nik mu nic nie pedział, heba mu byli radzi. Teraz by sie nie dało to zrobić, coby jakiś przyszeł ze świata i obsiad, bo by sie go spytali: »Cosi tu kciął?«

Ty Zakopiska należom do polany Gładkiej. Gładka sie nazywa przeto, że ani kamieni, ani kęp nijakich ni más w niej, heba jest gładko po tej ziemi. Nad temi Zakopiskami postawił pamiątkę sławny doktor, p. Hałubiński z Warsiawy — postawił krzyż uloty ze surowiny zelaznej, — ciężki krzyż, ftórego ośmioma koniami ciągli bez Ciągłówek do Furmanowej. Podzwolił Jakob Mihna na swojej ziemi ten krzyż postawić, przy miedzy zakopiańskiej, prociśród Zakopisk.

Wyrazy gwarowe: kiejsi = kiedyś, ka = gdzie, doznaku = zupełnie, haw = tu, ba = ale, kielo = wiele, krocenia = kroki, płaśnia = łąka leśna, cysto pięknie = zupełnie, kansi = gdzieś, kie = gdy, kiedy przyjacielstwo = pokrewieństwo.

Przypowiadka koło boginek.

Za dawniejsyk casów, a dawniejsze casy — przed stu laty — nazywają górale: drzewiej — znajdowały sie boginki, innego rodzaju ludzie, w brzegak, w przykryk, co nie mogli ani ludzie nascy dońć ku nim. Ale trefiało sie casem, co ludzie ik widzieli

i slychowali ik podcas piatku, abo soboty przy wodzie, ize ony prały, ale podobno nie kijankom, ani łachy, ale piersiami swojemi i oddawały głos, wyrazne eho.

Gdyby sie była nasła kobieta naska, nasego gatunku ludzi, zeby nie była na wywód z małem dzieckiem, hytro ony miały prawo takie jej ukraść, — porwać jom i dziecko.

I nasła sie taká jedna, toz boginki porwały napirw jej dziecko, a swoje położyły w to miejsce, a ona nie widziała. Tak pote, zajutro, wysła ona kobieta do pola do roboty, ku ziemniakom. Juści przysty wnetki trzy boginki, a jedna ś nik była kulawa. Pewno sie jej cosi kajsi przydarzyło, cy sie taká ulągła. I porwały ty boginki jom, te zonke. Uciekały ś niom ty, wtóre miały dobre nogi, po polak. Haj. Wtencás było pole trawom okryte i rozmaitemi kwiátami. Pomiędzy tymi kwiátami jeden sie ś nik nazywał zwonek. Juści ta kulawá boginka zostajała prec na zadku i tym zdrowym zazdrościła tej zony, bo jom odbiegały. I zawołała na kobiecie ta kulawa: »Zonka, chyc sie zwonka!« Był to zwonek nie mocny, ba jak sie zonka uchyciła zwonka, to juz boginki nie mogły uwlec prec, ani nie miały prawa.

Toz wicie — i między nimi sie nasła zazrość, nie jacy między naskimi ludziami, bo i między nasemi ludziami nańdziesz barz wiela, wtóry i nie zycy jeden drugiemu. Chociajby wiedział pewnie, ize on bedzie w piekle, coby ino ten był, wtóremu zawidzi, coby ino temu zawadzić.

Wróciła z tamstela, z tego pola, do domu zonka, uratowana od boginki kulawej. Pielęgnowała dziecko bogincyne, bo myślała, ze swoje. Przecie kobieta, jak swoje dziecko opiekuje dobrze, juści ono do roku, abo do półtora juz chodzi na swoik nogak i gwarzy nieftóre dobrze. A to, bogincyne, pielęgnowała siedm lat, abo i ośm, a nic na swoik nogak nie chodziło, ani nie mówiło, a do ludzi niepodobne: niby to człowiek, ba pozior zwierzency. Zzarło, kielo uwidziało, wozgrzyło sie ślinami, płacem darło sie, kwicało po cłowieceńsku i po zwierzeńsku i ciongiemby było zarło.

Kobieta sie juz barz zmęcyła przy tem dziecku, mało zywa sama była, toz kotwiło sie jej i zrestom sie i ludzi hańbiła, ze jom takim dzieckiem Pan Bóg nagodził. Ukrywała go, jako ino mogła, jaze nie wiedziała co sobie pocońć i udała sie do ksiendza, cyby jej jako nie doradził i prosila o doradem. Toz ksiondz jej doradził, coby wlała do skorupianego jaja wody i pedziała, coby dziecko słyssało: »Bedem warzyła dziecku jeść«. A pote kazował jej wyńść do pola, a zrobic w ścianie takie okienko, coby to



dziecko nie wiedziało o niem — takom spare małom, zeby go mogła widzieć w tej izbie, co tyz ono bedzie robiło. »A pote — nakazował on ksiondz — przydzies i powies, co ono robiło, kie ta woda wrzała na śniadanie w skorupie«.

Juści to dziecko siedziało ciongiem bez 8 roków w jednym miejscu, toz go miała na łózk, bo vse jak swoje opiekowała. Teraz jak patrzyła sparkom s pola, poziera, a ono skoczyło s tego siedliska, kany siedziało, poźrało, co to lá niego sie warzy, zapłakało łoseckem i nazwało swojom matke matcyskiem, ze mu ino telo warzy. Toz teraz pirsy ráz ta zona go uwidziała na nozyskach brzyčkich, kie leciało ku temu śniadaniu, ozciapierzone rencami, szeroko krocające, oślinione i drapało sie po głowie, ozdárło jesce lepi rence i wrzescało, ze to mało lá niego.

Posła ta kobieta do ksiendza i ozpowiedziała ksiendzowi, co ta howieda pocynała, kie mu sie jeść warzyło.

Ksiondz przecie kce každemu pomódz i doradził jej tak: »Weź, wyruc do dziecisko na śmiecisko (do dziśka som jest u nas takie śmieciska, co sie izba zamieci i wyrucuje bez rok, abo bez pół) i bij mietłom brzewom, wtórom sie izbe zamiata. I nie lutuj sie nic, bo to dziecko nie twoje, ino odmienione od boginki. A tyś winna sama, boś nie była s małem na wywód, nie ucyniłaś, jako Bóg przykazuje.

I biła ta gazdzina brzewom mietłom bogincyne dziecko moze koło dwók godzin przez zmiłowania, coby ino było ledwie zywe.

Dziecisko brzescało, kwicało, rycało selenijakim głosem. Ozlegał sie ten głos po krzakak, po brzegak, jaze boginki usłysały, poznały swojego dzieciska głos, uwidziały, ze juz ta matka wie, ize to dziecisko nie jej. I zalutowały sie, — wnetki przyniosły tamto inse i prasnęły jej: Haw, más! — a swoje porwały. Dyc i boginkom luto swojej krwie, a miendzy krześcijańskimi matkami to seleniejako bywá.

Było to dziecko barz wynendznione od tyk boginek, bo howały go swemi korzeniami, haj, — i ciało jego było obrośnione w kudły, jako nieprzykładajac ciało bydłecia. Ale biedna matka ozradowała sie swemu dziecku, bo choć było wynendznione i chudeba mowe miało cystom, przemawiało pieknie do ludzi i do swojej matki. Biedny jego śmiech był, kie sie oześmiało, ale jakoby janiół gwarzył z ludziami. Haj.

Teráz nimás juz boginek zadnyk. Ale i to pedzieć trza, ze nimá i kobiet, zeby s małym dzieckiem nie sły na wywod. Pilno spełniam obowiązek i przybacajom se ty starodawne historje, co sie ś nimi działo od boginek.

Wyrazy gwaroe: drzewiej = dawniej, kotwiło sie = przykrzyło, wse = zawsze, kany = dokąd, łoseckiem = rzewnie, howieda = potwór, som jest = są, lutować sie = litować się, żałować, selenijaki = różny.

O topielcach.

Znajdowały sie za dawnyk casów i topielce w nasyk górak. To był ani cłek, ani ryba. Topielce ukazowały sie rybom i uwodziły niektóryk ludzi. Wychodziły do małej wody, zeby cłek myślał, co jom hnetki chyci, a pote płynęły prec do wielgiej wody. Samek widział telo:

Było mie 14 lát, chłopákowi drugiemu moze było 16 lát.

Pašli my owce przy wodzie u Królów, bo moja babka po matce była ze Zwijaców Królowa. Toz pasiemy i pozieramy — haw przy kraju ryba. I ten chłopák jom kciał ułapić, bo ona strasnie pomalućko sie rusáła — ino-ino, kie jom zestrachamy. Ale chociaj jom do garści wzion, ona mu ukieźła i prec posła. Ale zaraz stanęła. Odesał ten chłopák za niom od kraju dobre dwie siagi. I co sie nie zrobiło; przyleciała woda więksa, chocia i ni było desca — nazywamy takom wode naremnom: nawałnica — i zajena mego chłopaka. I nie zratował sie — nie! Haj.

Ozpowiadał mie tyz gazda, nie zaden plotka, ino porzomny gazda, ze to na to patrzał: Zdarzyło sie jednego casu, ze wysał topielec w nocy na ławke. A dwa chłopcy wcieli przeńść. Pazierajom, a hań na ławce cosi niepodobnego siedzący, na kraju nad wodom. I to prawi tak: »Świeć, goły, zimnom wodom!« A raz wrzasnął: »Świtaj, Boze!« A o tyk chłopák ani wiedział, co za krzakiem stały i widziały go dobrze. A jeden ś nik był śmiały, w rence miał sękowiec. Kie topielec zawołał: »Świeć, goły, zimnom wodom!« — ten skoczył, jak chłusnie sękowcem w topielca. Topielec trzasnął we wodem i myślał tak, co go ten chlusnął, wtóremu kazował świecić i odpowiadający mu topielec, gwarzy ze sluzami: »Cybyś świecił, cy nie świecił, to mie kijem nie bij!

Wyrazy gwarowe: Ukieźła = wysłiznęła się, naremna = gwałtowna, ławka = kładka, sękowiec = gruby kij, śluzy = łzy.

O bogowojnym juhasie.

Toż co tera ozpowiem, to niejes żadna opowiadka abo przypowiadka, ani bajka, jeny to jes prawda. Za nasyk ojców, dzia dków to sie konało.

Jest jedna hála, wtóra sie nazywa Miętusia, między Małom Łąkom a upłazem Cerwonego Wirchu. Drzewiej sie pasalo w tej háli 500 owiec. Był hań sałas w dolinie. Nad tym sałasem był straśny wirk i turnie. Nie wsendy tyz było módz z owcami dońś po trawem, zeby sie pasły. Było juhasów ośmi, wtóre pasły, a dziewiąty baca, wtóry on robi ze syrem i jest w sałasie, jako gazda domu, a między temi juhasami jest jako ociec między dzieciami. Im nie wolno wziońś syra kaścicka przez niego, ino wtencás, kie on im dá. Jeny do zentycy, kiej sie wtóremu zekce to pipe, bo baca tem nie dzieli. Syr sie daje na owce gazdom. Owce sie zganiajom ś pięci i ze seści wsi. To sobie zganiajom juhasi i oni kázdy musi wiedzieć o swoik, wtóre zajon u gazdy.

Juści był między nimi jeden, wtóry prawdziwie nazywał sie juhas, ba to był z Boga juhas. Wstał wcás, umył sie, klenknał, pácierz zmówił godnie, chociaj to było w lesie, miendzy turniami. Ci drudzy sićko sie ś niego śmiali i nazywali go Jezusek. Przysło połednie, on sie pomodlił, chociaj zwonów on hań prawie nigda nie cuł. A ci siedmi inyk juhasów i baca zamiast sie pomodlić, to wselejake śmiechy ś niego tocący, wselejakiemi brzyćkiemi radami radzą, bluźnią.

Cięzko było temu juhasowi dobremu wytrzymać przy nik. Kie przyseł nieraz hudobny dziadek na sałas, to on syćkik przebieg piersy i jemu dał cerpák zentycy. A baca s temi drugimi juhasami wyśmiewający sie s niego, przykładają mu, ze »to jest twój ociec, podobnyś do tego dziada, mógbyś iść ś nim po zebrze. Świedcyło by wam obu«.

Ale ten juhas bogowojny na to nie patrzył — nic a nic — jeny patrzył, co sie tycy sałasu i tyz, co sie tycy Boga. Nosił Go w sercu.

I co sie nie zrobiło: jednego razu przychodzi dziadek siwy, stary na sałas. Skocyl bogowojny juhas ku dziadkowi, przywitál, dał mu ciepłej zentycy, co miał wypić on, juhas, dał mu tyz i swój kasek syra, wtóry miał od bacy i prosił pieknie, coby ten dziadek siad na jego miejsce przy watrze, ogrzać sie godnie.

Trudno było juhasom wystąpić s kijem na obuk, na juhasa i na dziadka, bo juhas bogowojny był właściciel na tej

háli, na Miętusiej, miał tam ceść, toz jeny naśmiewali sie bluźnierskimi słowami.

Posiedział końdek ten siwy dziadek i nie pedział im, juhasom: ostańcie z Bogiem, — bo nie godni byli. Odesał 20 kroków od sałasa i zawołał pobożnego juhasa ku sobie. Hipnął bogowojny juhas ku dziadkowi siwemu. Pedział mu dziadek: »Zachowaj moje słowa i pamiętaj, co ci tera powiem. Widzis ten wirk?« — gwarzy dziadek, a nad samym sałasem był wirk ostry i wysoki, na wtóry nie wyseł żaden cłek, ani dzika koza. — »Pozrij-ze na ten wirk i pamiętaj: jutro w same połednie weńdzie nad tym wirkiem chmurka. A ty wnet uzbiraj swoje rzeczy i włóż do torby. I ciągiem pozieraj na niebo, nad ten wirk ostry. Kie wyńdzie chmurka, nie bedzie więksá, jako cała twoja torba. Toz zarucaj wartko swojem torbe na plecy, nie uwazuj na śmiechy, ani bluźnierstwa, weź ciupage do ręki, zeńdź nizej owiec, ka owce stały w kosarze, gwiźnij na owce swoje i idź dołu, nie obzieraj sie nic«.

Tak dziadek nakazował i tak sie stało. Juhas bogowojny zebrał w samo połednie swoje rzecy. A rzecy juhaskie zwały sie takie: formy na sieneniejakie oscypki: baranek, kacka, serce, parzenice, — pote gieleta, co sie owce do niej dojom, — sata, we ftórej syr wisi, — cerpák miasto kubka, we ftórym owcar pije zentyce, — kapalka, co do niej kapi zentyca ze satki s serem, — ferula, co sie trzepie, kiej sie zentyca uwarzy. Toz te wsyćkie rzecy bogowojny juhas sebrał, a co móg, włożył do swojej torby ze sukna z długiemi strzępami, a kie sie chmurka ukazała nad ostrym wirkiem, zeseł ponizej owiec, włożył — jako zwyczajnie — dwa palce w usta i gwiznął. Syćkich owiec było seśćset, a jego wyzej sta. Toz te jego owce wyłacyły sie hnet cudem bozym i sły za swoim juhasem dołu. A to przecie nie był jesce osad, bo to było śród lata. I kie taki osad jest, to potrzebno ludzi, zeby jednego juhasa owce módz odłacyć, zeby ich poosadzać. Przecie to owce nie ludzie, zeby one mogły wiedzieć, wtórego som jest juhasa, heba kie pobendom wraz tak seśćset, to one som prawie tak, jakby one były jednego juhasa, a te sie wyłacyły cudem bozym.

Posał juhas dó domu z owcami, ze swemi. A nad tym wirkiem chmura sie ozciągła wielga, wiedzazna. Była ślicna w ten dzień pogoda, ba jak sie ta chmura ozciągła, pogoda zginena. Napirw zaczął desc lác, pote przysły grzmioty, łyskawice strasne, przeraźliwe, a pierony tak biły do tego wirka, co nigdy

ani przedtę ani pote ludzkie ucho nie słychowało, ani oko nie zwidziało. Jaze ozbiły pierony ten wirk ogromecny, jaze zawiezło tyk juhasów niesczęnyk.

Zwióz sie wirk cały na sałas, ani śladu znaku nie ostało, ka sałas był. Zakończyło sie zycie juhasom smutne. Były to chłopy mocne, silne, piekne, ozbrojone pasami, a ty pase obite guzikami, łańcuskami, kapeluse centkami mosięznymi, mało ik było widno od mosiądza. Ale były to tyz chłopy durne, pysne. Zaden ś nik nie przeradził do nikogo w porządku, jeny wse z wysmiechami, wygadowaniem na drugik, wse o brzyćkik rzecak mówili. Toz i śmierć mieli niescensnom. Jaká praca — taká płaca.

Ten bogowojny juhas była to średnia chłopina, nie kochał sie w ządnyk zbrojak, ba zawdy na sobie miał, co podla niego sie patrzy. Miał sobie pasik, pare guzików na nim, łańcusek jeden u pasika, ftórym miał nóż przypięty, coby mu sie nie stracił, bo taká moda była starodawna. Z kazdym przeradził w porządku ten juhas, i z biednym i z bogatym. Wto sie go co zapytał, to mu odpediał miłosiernie. Toz go cud Bozy od śmierzci zratował. Poseł ze swoim kierdelem dó domu i s tego sie wiela ludzi wtedy poprawiło.

Kie sie lato skończyło, nastąpiła zima, pote przysła wiesna. A na wiesne zawdy juhasi schodzm sie i zaprowadzajom sałas, bo przez owiec przecie nie mozná być. Tamok, w tym miejscu, sałasa nie mozná było założyć, ka łonie był, bo hań wielga ruina, kamienie, pustać. To našli se tyz w Miętusiej rówienke, zwanom Przysłup, założyli sałas, uzganiáli owce, ale juz o połowe mniej, jako łonie. Wešli juhasi pirsy dzień do háli ze swemi owcami. Napašli owce, a na wiecor podoili i pošli z mlikiem do sałasu. I co sie nie zrobiło: owce sie jako zastrachały i posły w nocy w turnie, w wieldzazne, i pasły sie po najgorsyk miejscak. Juhasi z wielgim strachem za nimi goniący, wcieli jako wrócić swoje owce na sałas. Ale juści w nocy po takik pustaćciak, przepaściak, turniak ostryk nijakim świacie nie mogli ani dońść, ani przeńść. Dyc kazdy moze ozsądzić, ze jako idzie równom drogom po ćmie, to sie przepaści robiom, a jakoz dopiero w przepaściak! Ale jako sie namieniło na dzień, same owce przysły na sałas. Ządna sie nie straciła i sićkie becały do swoik juhasów, coby śli ik doić, bo nijaki juhas nie poradzi napaść owce tak dobrze, jako ony sie napaśły w nocy. Podoili juhasi na rano i kcęcy ik paść, jako sie wse pasuje, ale owce do pasy rusyc sie nie kciały, ba legły i mierendziały. Ku połedniu sie

tam końdek popasły i na odwiecerz końdek. Juhasi wiecor podoili i pošli z mlikiem do sałas. ale nie sička — paru ostało przy owcak i gwarzyli do owiec, bo myśleli, co wcora ony sie cegoś zestrachaly. Owce stojom, bystro usami przerabiajom, kieby co zwidziały strasnego. Juhasi padajom do owiec: »Prrrujka! nie bójcie sie!« A owce moje, cym barziej do nik mówiom, tem barziej rusajom sie, strachajom, jaze sička durkły w lasy, w ostre turnie....

Juhasi odbiegli mliko i syr, oscypki i swoje rzeczy, chcący łapić owce i zawrócić na sałas. Ale to sie juz nie dało. I tak sie mordowali po kilka nocy, bo kazdy wiecór owce tak robiły. Kieby juhasi byli do tyk przepaści pošli we dnie z owcami, kany sie pasły w nocy, to połowa owiec byłaby wybita, a tamok jednej uszkodzone nie było i barz dobrze doiły sie w to lato, dobrze służyły, jako podajom owcarze. Juhasi zmartwioni byli, zmordowani za nimi goniący po nocak, a chociaj pote juz nie śli za nimi, wse to ik męczyło: co sie stanie z owcami, z nasemi. Jaze w jedne noc wtóryś juhas ni móg wytrzymać i poseł za kierdelem w nazorki, chociaj wiedział, ize ik nie wróci. I dobrze niebardzo słysy przy owcak śpiew cłowiecy, ale widzieć go nie mozna chociaj noc była widna. Owce widział, a cłowieka nie, ino śpiewonke słysał i eho w turniak sie pięknie odbijało. A śpiewało to tak:

Ani ja porteczek, ani ja cuzecku.

Jakoz ja bedem pás te ludzkie owiecki*)

A ciągiem śpiewało to samo jedno. Juhas zachował do głowy ten śpiew i poseł na sałas, ozpowiedział towarzysom, jakom śpiewánke słysał. No i dobrze niebardzo, juhasi tak uradzili: kielo łonie zgineno juhasów, co ik przysuł ten wirk, telo dali zrobić krawcowi portek i cuzek, coby było lá kázdego. I jak podoili na wiecór owce, zawiesili to odzienie na strondze i pošli z mlikiem do sałas. Pošli, ale wse sie obzierali na kosar: co ta bedzie z nasemi owcami? Owce cicho legły i zaceny mierenzić. Ale w te coś przysło i to odzienie wzieno i miłosienym głosem zapłakalo: »Jużeście nás tera wyplacili«...

*) Porów. kilkunastu wierszowy komentarz Sabały do warjantu tej piosenki, i opowieść o Mięsusiej, przytoczone we wspomniałem dziele Stanisława Witkiewicza »Na przełęczu« — str. 103, i 114.

Owce leżały cicho, nigda w nocy nie sły juz paść, a juhasi mieli spokój i majom go do dziś dnia...

Wyrazy gwarowe: Prawie = właśnie, końdek = trochę, oscypek = serek góralski, wraz = razem, przeradził = rozmówił się, nijakim światem = w żaden sposób, mierendziały = żuły.

Tyle słów Gąsienicy. Żywa, lotna wyobraźnia zaciera w jego pojęciu granicę między światem rzeczywistych stosunków a cudownością, ukazuje mu krainę dziwów, czarów, cudów, którejby nie dojrzał, patrząc na ludzi i rzeczy przez »mędrca szkiełko«.

A tęczyowych blasków tej fantazyi pierwotnej, wspólnej wszystkim podhalanom, nie gasi książkowa wiedza. Taki na przykład Jędrzej Słodyczka z Zubsuchego, wsi graniczącej z Zakopanem, — pomimo że synowi dał wykształcenie uniwersyteckie i o wielu rzeczach od niego słyszał, — pomimo że sam czytuje z młodzieńczym zapałem książki i gazety, jest posiadaczem pokaznej biblioteczki, rozprawia o rozmaitych zagadnieniach filozoficznych, zna teorię Darwina, — taki Słodyczka wierzy w boginki i topielce równie szczerze, naiwnie, niezachwianie, jak i niepiśmienny Gąsienica, o wypadkach zaś na Miętusiej mówi głosem, grozą tłumionym, z przejęciem tak głębokiem, że udziela sie ono pomimo woli słuchaczom..

M. Wystouchowa.

Polacy na Węgrzech.

Studjum etnograficzno-statystyczno-historyczne.*)

IV. Stolica Spiska.

I. Pogląd historyczny.

c) Okrąg 24 miast spiskich.

Okrąg ten, nazwany także ziemią saską (Sachsenboden, terra Saxonum de Scepus) dostał się Węgom dopiero w latach między 1132—1190 r., w dalszem następstwie nieszczęśliwych wojen

*) Zob. „Lud“ VII., str. 74.